Rok VI. 1 Kwietnia 1934. Nr. 14

DZWONECZEK



Pod płaszczem Królowej Jadwigi. (Według obrazu Jana Bukowskiego).

Na Wawelu w Krakowie
Byli dobrzy królowie,
Lecz nikt lepszej nie pomniał władczyni,
Naród matką ją zowie.

Bo gdzie nędza się sroży,
Gdzie kto cierpi najgorzej,
Tam z pomocą litosną pośpieszy
J a d w i g a — Anioł Boży.

Chlebem głodnych obdzieli,
Strapionych uweseli...
Wśród kalek nędznej rzeszy
Ludzie jej łzy widzieli.

ŚWIĘTA

Wyobraźmy sobie na chwilę, że jakaś niedobra ręka wykreśliła nam z naszych kalendarzy wszystkie święta, jakie obchodziliśmy zawsze w ciągu roku; że ręka ta zniweczyła cały tak zwany rok kościelny, zmuszając nas do zapomnienia o wszystkiem, co odrywało myśl i duszę człowieka od jego codziennych zajęć, trosk i kłopotów; że został nam tylko nieprzerwany szereg miesięcy, tygodni i dni jednostajnie szarych, smutnych, bezbarwnych. Pamięć ludzka długoby jeszcze zachowywała wspomnienie — kiedy, w którym miesiącu obchodzono jakie święta, z czasem jednak wspomnienia te zacierałyby się coraz bardziej, aż wkońcu ogarnęłaby je zupełna niepamięć.

Prawda, że strasznie smutno stałoby się na ziemi, bo chociaż dusza ludzka sama dźwigałaby się w tęsknocie ku swojemu Stwórcy, to jednak ludziom potrzebne są jeszcze i te wszystkie inne objawy czci Bożej, jakiemi są obrzędy kościelne, wspólne modlitwy, adoracje, przebłagania; potrzebne im jest ciągłe odświeżanie w pamięci tego, co uczynił dla nich Bóg w swojej niezmierzonej miłości i dobroci, i co oni winni nawzajem Bogu.

Jakże zatem powinniśmy się czuć szczęśliwi, że możemy wspólnie i jawnie, otwarcie, publicznie, święcić każdy okres roku kościelnego, każde święto i za każdym razem jakby nanowo przeżywać zdarzenie, jakie ono wspomina.

I teraz oto, wszyscy jak jesteśmy, święcić znowu będziemy nadchodzącą Wielkanoc. Dla jednych powtarza się ona po raz zaledwie ósmy, dziesiąty, czy choćby piętnasty; dla innych kilkadziesiąt już razy ogłaszały dzwony rezurekcyjne radosną wieść o Zmartwychwstaniu Chrystusa Pana. Bez względu jednak na to, ile razy kto z nas przeżywał już te święta, niechaj się dzisiaj zastanowi nad tem, jak je przeżył. Bowiem wszystkie święta kościelne, które są odzwierciedleniem wielkich zdarzeń, które są przypomnieniem spełnionych dzieł Bożych dla naszego szczęścia i zbawienia, — winny być przez świat chrześcijański przeżywane w odpowiedniem skupieniu, powadze i świątobliwym nastroju wewnętrznym.

A więc nie wyobrażajmy sobie, że dobrze spędzić święta można tylko przy suto „święconem" zastawionych stołach, w nowo sprawionych sukniach, wśród bezmyślnej, a często grzesznej uciechy, wśród huku wystrzałów magnezjowych, przy złośliwych psotach zwyczajów śmigusowych i t. p.

Ale — gdy po żałobnej ciszy Bożych Grobów, rozkołyszą się nanowo dzwony kościelne Wielkanocnem Alleluja, — niechże się w nas dusze naprawdę podniosą z codziennej martwoty, niech wraz z temi dzwonami wychwalają Pana, który Swem Zmartwychwstaniem pokonał grzech i śmierć, a otworzył bramy Życia Wiecznego.

Szczęśliwe te dzieci, które w późniejsze swoje życie poniosą wspomnienia godnie w domu rodzicielskim spędzanych świąt. Wspomnienia te stać się mogą dla nich jasnem światłem wśród ciemnych dróg świata, uchronić od złego, zachować w duszy prawdziwą czystość niewinnych serc.

A zatem życzymy młodym Czytelnikom świąt prawdziwie radosnych, spędzonych beztrosko, z pogodą w duszy, ale jednocześnie z myślą o tem, czego vamiątką jest Wielkanoc. *Red.*

* * *

Wielkanocne biją dzwony...
Niechaj będzie pochwalony
Pan, co z martwych cudem wstał...

Hymny grają w głos organy...
Niechaj będzie wychwalany
Pan, co duszom pokój dał...

Grobu rozerwał pieczęci,
By ludzie mogli być święci
I wieczyście z Bogiem żyć.

Za to złóżmy Panu dzięki...
Serca zmieńmy w dzwonów dźwięki,
By z nich wieniec chwały wić...

W wielkanocne bijmy dzwony...
Pan niech będzie pochwalony,
Co z krzyżowej męki ran
Dla nas z martwych wstał
Nasz Pan!

K.

Pod płaszczem królowej Jadwigi.

Z pomiędzy niezliczonych podań z życia królowej Jadwigi, bardzo piękne jest opowiadanie o uratowaniu przez nią kotlarczyka, który kąpiąc się w rzece, utonął.

Było to w Krakowie podczas procesji Bożego Ciała, w której udział brała królowa. Gdy doszła do niej wieść o wypadku, bez wahania opuściła uroczysty pochód i pośpieszyła nad Wisłę pod klasztor Sióstr Norbertanek. Zastała tam już tłum ludzi. Na kwietnej łące u brzegu leżał świeżo wyłowiony z wody topielec. Miłosierna Pani przyklękła, modląc się gorąco, i własnym swoim płaszczem nakryła zmartwiałe ciało, nad którem rozpaczała matka. Wszyscy się przez chwilę wraz z królową modlili, gdy wtem wśród ciszy rozległ się krzyk matki: cud! Uszczęśliwiona kobieta spostrzegła bowiem, że pod płaszczem Jadwigi synowi jej powraca życie. Istotnie, chłopiec odzyskał cudownie zdrowie.

Od tego czasu powstał w Krakowie zwyczaj, że kiedy umarł ktoś z cechu kotlarzy, zawsze ów przechowywany przez nich płaszcz królowej Jadwigi, którym miłosiernie topielca okryła, zarzucano na trumnę w pochodzie na cmentarz.

Wieść o zdarzeniu z kotlarczykiem, jakoteż inne podobne opowiadania cudowne z życia umiłowanej Jadwigi, rozchodziły się szeroko po całym kraju i nawet poza jego granicami, umacniając wiarę w świętość naszej wielkiej królowej.

el.

Przeszkody Kazika.

— Mamo, proszę Cię, zabierz Marysię, bo ciągle trąca stół i przez nią piszę krzywe litery.

— Mamo, niech nikt nie przechodzi przez pokój, bo to mi przeszkadza.

— Mamo, przez to trzaskanie drzwiami w kuchni nie mogę uważać!

Takie zdania wygłaszał co chwila 10-letni Kazik przy odrabianiu lekcji. Mama chętnie robiła wszystko, aby synkowi ulżyć, więc zamykała drzwi do kuchni; cicho, cichutko, zabierała z pokoju siostrzyczkę Kazika, Marysię, a po mieszkaniu chodziła na palcach.

Ale czy myślicie, że to coś pomogło? Na drugi dzień Kazik miewał znów inne pomysły:

— Wóz dudni po bruku, więc nie mogę się nauczyć opowiadania — mówił z płaczem.

— Mamo, Marysia śpiewa, to mi przeszkadza — wołał znów za chwilę.

Usłyszał pewnego razu te wyrzekania Kazikowe jego tatuś i powiedział:

— Gdybyś się zajął nauką, nie nadsłuchiwałbyś wtedy, co się dzieje w drugim pokoju, czy na ulicy i nie zważałbyś na Marysię lub co innego. Ale widzę, że ty jesteś leń i nie bardzo myślisz o nauce.

Kazio nic na to nie odpowiedział, ale pomyślał sobie, że tatuś się naturalnie myli i nadal codziennie wynajdywał przyczyny, dla których nie mógł porządnie pisać i czytać.

Pewnego dnia posłała go mama do dozorcy domu z jakimś interesem. Kazik wszedł, powtórzył zlecenie mamy i już miał wychodzić, gdy nagle zobaczył przy niskim stole siedzącego chłopca, który był synem dozorcy. Chłopiec coś pilnie pisał w zeszycie, a na stole leżały jego książki szkolne.

Kazio patrzył zdziwiony. W mieszkaniu było prawie ciemno, a pod oknem siedziała, szyjąc coś na maszynie, starsza siostra chłopca. Maszyna ciągle terkotała, dozorczyni usypiała w kołysce najmłodszą swoją córeczkę, śpiewając przytem jakąś pieśń, a chłopczyk pochylony nad stołem, mimo to pisał coś i pisał — i nawet na chwilę nie odrywał oczu od książki.

Kazio wyszedł zamyślony i zaraz to, co widział, opowiedział mamie. Wtedy mama rzekła:

— Widzisz synku, że są chłopcy, którzy kochają naukę i rwą się do pracy, mimo, że im jest ciężko. Wprawdzie tych jest mało, a leniuchów więcej. A do których ty należysz? Pomyśl synku i popraw się.

Kazio nic nie odpowiedział, ale odtąd żadne już odgłosy nie przeszkadzały mu w nauce. Zrozumiał, że jeśli się chce — wszędzie można pracować.

E. Burchardówna.

Koleżanki.

(Dokończenie).

Na popołudniową lekcję prawie wszystkie dziewczynki przybyły z łyżwami. Brzęk ich zapełnił klasę

— Elo! Będziesz na zabawie? Przyniosłaś łyżwy, prawda?

Ela uśmiechnęła się do otaczających koleżanek.

— Naturalnie. Mogłybyście wątpić? Ciekawa jestem doprawdy, jaka siła mogłaby mnie skłonić do opuszczenia kiedy ślizgawki.

Dziwnie dłużyła się lekcja dziewczynkom. Nareszcie jednak upragniona chwila wyjścia nadeszła. Rzuciły się ku wieszadłom, wśród śmiechu i żartów ściągając płaszcze na wyścigi, byle jak najprędzej znaleść się na swobodzie. Ucieszona ich radością nauczycielka śmiała się serdecznie.

— Uspokójcie się — wołała. — Zdążycie na czas.

Nagle spostrzegła na uboczu stojącą przy oknie Wandzię, smutnie zapatrzoną przed siebie.

— Co to, Wandziu? Pozwalasz, aby cię inne ubiegły? I to ty, taka zapalona łyżwiarka?

— Nie mogę iść na ślizgawkę, proszę pani, łyżwy mam złamane...

— Czy ty idziesz, Elu, nareszcie? Coś się tak zadumała? Chodź, — czekamy na ciebie — wołały inne.

Wyrwana z zamyślenia Ela spojrzała na koleżanki.

— Idźcie, moje drogie, — idźcie już. Ja zaraz przyjdę. — Czekała, aż w opustoszałej klasie pozostała sama z Wandzią, poczem podeszła ku niej.

— Weź moje łyżwy. Ja się ślizgać nie będę.

Spotkały się ich spojrzenia. Wandzia zrozumiała — — — Nisko schyliła głowę, a na twarz jej wystąpił silny rumieniec.

— Przebaczasz mi? — wyszeptała.

— Tak — mocnym uściskiem chwyciła Ela jej rękę. — Powiedz, czemu mnie nie lubisz? Czemu? Pragnęłam zawsze posiadać twoją życzliwość. Niechęć twoja boli mnie bardzo. Nie chciałam nigdy zrobić ci przykrości, — lecz może uczyniłam ją kiedy niechcący, bo jednak musisz mieć jakieś powody.

— O Elu! Jedynym powodem była zazdrość, niska, marna zazdrość. Teraz dopiero rozumiem, że ta ogólna miłość, jaką posiadasz, należy ci się słusznie. Mieć ją musisz, bo umiesz ją zdobywać w tak przedziwny sposób. Jakaś ty szlachetna, jak niezmiernie dobra. Pierwsza podajesz mi rękę, gdy ja tak bardzo cię skrzywdziłam. Nie zapomnę ci tego nigdy, nigdy, Elu!

Z jasnym uśmiechem ręką zasłoniła jej Ela usta.

— Dosyć. Bierz łyżwy i jazda, bo się spóźnisz.

— Nie, Elu, nie żądaj tego. Nie mogę pozbawić cię jeszcze i tej radości.

— W żaden sposób? No to chodź, pójdziemy razem. Będziemy sobie nawzajem łyżew pożyczać. Tego mi już chyba nie odmówisz.

Trzymając się za ręce, pobiegły dziewczynki na miejsce zbiórki. Zdążyły jeszcze na czas. I zdobyła Ela szlachetnym swym czynem jeszcze jedno oddane sobie serce.

Marja Romerówna.



O kogutku i kaczkach

historja prawdziwa

Kiedy w tym roku wiosna do nas zawitała,
Kiedy kwiatem, zielenią, ziemia się ubrała,
Gdy świeże, tęskne wiatru podmuchy wiosenne
Porozpędzały chmury deszczowe i senne —
Wtedy na świat przyszedł nasz kogutek miły.

A to tak się rzecz miała: Starą kurę-matkę
Posadzono na sporą jaj kaczych gromadkę.
Ale przypadkiem dziwnym, coś się tak zrobiło,
Że wtem do kaczych kurze jajeczko przybyło.
Kiedy żółte zaczęły z jaj wychodzić dzióbki
Małych kacząt — kogucik też wyszedł malutki!
Pośród gromadki żółtych, niezgrabnych kaczuszek
On sam zgrabniutki z jaja wyskoczył pieluszek.

Do swej matki tak wdzięcznie, słodko się przytulił
Że najtwardszeby chyba serce tem rozczulił.
Kiedy kura zdziwiona z takich dzieci była,
Kiedy, jakby z zawodem, na kaczki patrzyła,
Skąd jej dzieci szerokie takie łapki mają,
Czemu dzioby tak wielkie w wodzie się pluskają.
Gdy spojrzała na swoje jedyne pisklątko,
Radość, duma z niej biły: „to moje kurczątko!“
Odtąd kogucik mały był pociechą matki.
Gdy się dowołać chciała swej kaczej gromadki,
Kiedy, jak tylko umie, głośno krzyczy, gdacze,
A matki głosu żadne nie pojmuje kaczę,
Nie ruszają się z miejsca, a kogutek bieży,
Pędzi, jakby na skrzydłach, do swojej macierzy.
On jeden ją rozumie, jeden z nią współczuje —
I kaczęta do matki prędko nawołuje.
Kiedy rodzina cała przybyła nad wodę,
W stawie z lubością kaczki nurzają się młode,
Kura-matka nie smutna, nie jęczy, nie płacze,
Że ją opuściły jej pisklęta kacze,
I po brzegu nie chodzi tęskna, rozpaczliwa,
Jak to zazwyczaj z kwoką, matką kacząt, bywa.
Bo wszak została przy niej pociecha jedyna:
Kogutek, synek drogi, najmilsza dziecina!..
Kiedy z ziemi robaczka jakiego wygrzebie,
Wnet kogucika szuka i woła do siebie:
„Masz tu, maleństwo moje, na najpierwsze danie".
„To jest dla ciebie, synku, na drugie śniadanie!"
A kogucik posłuszny na wezwanie śpieszy
I tak swej matki serce wciąż na nowo cieszy.

Potem, gdy już dzieciństwa przeminęły czasy;
Kiedy młode nabrały urody i krasy,
I same już chodziły nad staw choć daleki —
Gdy pisklęta z matczynej wyrosły opieki —
Wtedy kaczki na wodzie pływały wesoło,
A kogucik wciąż chodził na brzegu wokoło.
I nigdy nie wygasła ich miłość siostrzana.
Kiedy drzwiczki kurnika otwierano zrana
Wnet, patrz, do stawu idzie kacząt trzódka,
A na czele małego zobaczysz kogutka! (*Dokończenie nastąpi*).

Noc wśród bagien Polesia.

Z wędrówki żołnierskiej.

(Dokończenie).

Gospodarz pouczył mnie o sposobie wytwarzania owych świec. Po zabiciu węgorza i oczyszczeniu, wkłada się do wnętrza ryby sznur konopny, owija się węgorza szpagatem lub nićmi i suszy. Po wysuszeniu świeca już jest przydatna do użytku. Sznur będący we wnętrzu pełni czynność knota, t. j. chłonąc w siebie tłuszcz, płonie ciemnem światłem i wydaje właśnie wtedy ową przykrą woń.

Podczas gdy Poleszuk wykładał o „węgorzu-świecy“, gospodyni zdążyła „złądzić“ wieczerzę i zaprosiła mnie do stołu, na którym była misa pełna ziemniaków w ich naturalnej szacie, ogórki w mniejszej misce i bochenek chleba. Widok dymiących jeszcze ziemniaków podniecił mój apetyt, toteż z pośpiechem siadłem za stołem. Obrawszy z łupiny ziemniak, spożyłem go, lecz woń dymu, jaka go przesyciła, nie zachęcała mnie wcale do dalszego jedzenia. W nadziei, że ogórek zaspokoi moje pragnienie, spróbowałem, lecz zaraz mimowoli przypomniał mi się smok wawelski, wedle podania struty siarką — tak to bowiem kwasi się tam ogórki... Nie chcąc psuć sobie zębów ani żołądka, zaniechałem dalszego posilania się, zwątpiwszy czy znajdzie się jaki śmiałek, któryby miał na nie więcej ochoty. Domownicy natomiast uwinęli się szybko i wkrótce puste misy świadczyły o ich apetycie, jak niemniej o tem, że wcale chyba nie byli wybredni.

Po kolacji gawędziłem z gospodarzem, gospodyni zaś rozciągnęła wojłok, który miał służyć za siennik, a na mokrej glinie rozpostarła słomę. Zbliżała się pora nocnego spoczynku. Zmiarkowawszy, że to drugie posłanie przeznaczone jest dla mnie, a nie mając ochoty ze względu na znaczną ilość różnych zwierząt w izbie spać na ziemi, jak również i na zaduch, jaki tam panował, postanowiłem zrezygnować z noclegu i ruszyć w dalszą podróż. W tym celu zapytałem gospodarza o najbliższe miasto powiatowe. Dowiedziałem się, iż leżało ono w odległości 45 wiorst (kilometrów) „z hakiem“, miałem więc sporo drogi przed sobą. Chcąc jeszcze upewnić się co do najbliższej osady, zapytałem o jej odległość. Odpowiedź brzmiała „na ryk byka“. Określenie to słyszałem po raz pierwszy. Gospodarz widząc moje zdumienie, dodał: „może być, że na ryk krowy“. Oba te wyrażenia wyrażały prawdopodobnie, iż tak daleko jest najbliższe osiedle, jak sięga ryk bydła rogatego. Pożegnawszy gospodarzy, opuściłem domostwo.

Zapadł już zmrok, jeno gdzieniegdzie z okien domów błyszczały purpurowe blaski roznieconych ognisk. Wioska pogrążyła się w ciszy i tylko psy dawały głośnem szczekaniem znać o obcych. Szybko szedłem drogą. Mrok wzmagał się. Niskie drzewa, otulające się ciemnym płaszczem nocy, wyglądały fantastycznie. W pobliżu zajęczał puszczyk. W miarę oddalania się od wioski, grzązłem coraz bardziej w bajorach, co utrudniało mi posuwanie się naprzód. Noc była bezgwiezdna, czarne chmury przewalały się po nieboskłonie, w powietrzu czuć było woń torfu. Było duszno. Nogi odmawiać zaczęły posłuszeństwa, błoto zaś „burząc się“, bulgotało dziwnie. Z wielkim wysiłkiem brnąłem dalej. Naraz ujrzałem światło, więc przystanąłem. Rzeczywiście, w oddali migotało światełko. Może to Poleszuk niecił ogień, chcąc wypalić „wilcze gniazda“... A może?...

Myśl o odpoczynku dodawała mi energji. Upewniwszy się co do kierunku, ruszyłem ku owemu światłu. Pod nogami wyczuwałem błoto coraz głębsze, ale nadzieja, że spotkam ludzi, rybaka czy smolarza, dodawała sił. Nasłuchiwałem pilnie czy nie posłyszę jęku surmy (trąby) lub skrzypienia poleskiego wozu, albo głosu ludzkiego, nic jednak nie mąciło ciszy, chyba łopot skrzydeł zrywających się ptaków błotnych. Mniemałem, że do światła już blisko, tymczasem oddalało się ono coraz bardziej. Ognisko to być nie mogło, gdyż wyczułbym dym, światło latarni też nie... Więc co? Pełen znużenia, usiadłem na dość dużej kępie i snułem domysły. Gdzie jestem? Intrygowało mnie owo światło i jego pochodzenie, nie mogłem atoli znaleść wytłomaczenia. Drzew nie było żadnych, osad temmniej. Któż mógł świecić na grząskich młakach? Ogarnął mnie lęk. Bałem się tej ciemnej nocy, zachłannego błota i owego ognia. Przez ciało zaczęły przechodzić ciarki. Drżałem

jak liść osiki; zdawało mi się, że słyszę jęki wydobywające się z topieli, że ktoś ręce wyciąga po mnie... Krzyknąłem przeraźliwie i zerwałem się, chcąc uciekać. Już — już byłbym się z matni wymknął, gdy nagle wpadłem w dół. Zimne, oślizgłe błoto zamazało mi twarz. Pod wpływem zimna oprzytomniałem. Poznałem, że bagnista zapaść zaczęła mnie wciągać. Uświadomiłem sobie grozę położenia i parłem całą siłą, aż uchwyciłem ręką pęk trawy rosnącej na kępie.

To mnie ocaliło. Po chwili wygramoliłem się z potwornej kałuży. Zmaganie z topielą zmęczyło mnie srodze. Odpocząwszy, począłem się wycofywać. Zwodniczego światła już nie widziałem. Szedłem już dłuższy czas, gdy naraz posłyszałem głuche dudnienie. Czyżby burza? Nie było przecież błyskawic ani grzmotów, domyśliłem się tedy, że był to odgłos pędzącego pociągu. Zwróciłem swe kroki w stronę, skąd głos dolatywał, odróżniłem zdaleka ciemną masę nasypu i wreszcie dotarłem do twardego gruntu. W dali błyszczały czerwone światła znikającego pociągu. Szedłem już dalej wzdłuż toru. Po jakimś czasie zamajaczyły zarysy drzew i jakiegoś zabudowania. Była to koszarka, czyli domek strażnika kolejowego. Ucieszyłem się, że będę mógł w niej przepędzić noc, lecz radość prędko prysnęła, gdy zauważyłem, że okiennice pozamykano. Minąłem więc koszarkę i puściłem się w dalszą drogę.

Ołowiane chmury „odprawiały swoje chody", jak mówią Poleszuki, pozostawiając za sobą szare strzępiaste chmurki. Na wschodzie niebo przecierało się, przybierając jaśniejszy kolor. Świtało... Świat budził się, ja zaś odczuwałem z każdą chwilą coraz większe zmęczenie. Głowa ciążyła mi, oczy się kleiły, nogi ustawały. Na szczęście zobaczyłem niespodziewanie opodal kopę siana. Wystarczyło kilka minut, a już „jamka" była gotowa. Wsunąłem się w nią — i odrazu usnąłem. Gdy się obudziłem, słońce było wysoko. Wybrałem się w dalszą drogę pełen zadowolenia, dziękując Bogu, że nie padłem ofiarą „błędnego ognika", czyli gazu błotnego, który tak często wabi ludzi nieświadomych niebezpieczeństwa i wciąga ich w topiel bez ratunku.

Andrzej Więckowicz

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada I.

Całość masz u aptekarza, *pierwsza-czwarta* w ziemi bywa. *Druga-czwarta* wprost przeraża, gdy ci kupiec ją zaśpiewa. *Drugie-trzecie* na pończosze. Zgadnąć łatwo, myśleć proszę.

Szarada II.

Pierwsze — niemieckie twierdzenie, *trzecie* — polskie zgromadzenie. *Drugie* w „łowach" się znajduje, *drugie-trzecie* — ten, co się niemi zajmuje. We *wszystko* las obfituje.

Rozwiązanie zagadek:

Z numeru 12-go: Karawana.

Z numeru 13-go: Szarada I: Watykan. Szarada II: Janczary.